

Czym grozi dobry przykład

Noam Chomsky

Nie ma takiego kraju, choćby najmniej liczącego się w świecie, który nie mógłby stać się celem interwencji zbrojnej USA. Owszem: często to właśnie najsłabsze, najbiedniejsze kraje prowokują największą wściekłość Ameryki.

Choćby Laos w latach sześćdziesiątych, jeden z najuboższych krajów na świecie. Większość zamieszkującej go ludności nie wiedziała nawet, że istnieje coś takiego jak „Laos”. Większość znała tylko własną wioskę i wiedziała, że w pobliżu leży sąsiednia. Ale gdy tylko w Laosie zakiełkowała rewolucja społeczna, Waszyngton posłał bombowce. Zbrodnicza kampania „tajnych bombardowań” stała na proch mieszkańców dużych połaci kraju, a cała operacja – jak później przyznano – nie miała nic wspólnego z wojną, jaką USA toczyły w Wietnamie Południowym.

Grenada była krajem stu tysięcy chłopów. Eksportowała gałkę muszkatołową. Trudno ją znaleźć na mapie. Ale gdy i tam doszło do umiarkowanej rewolucji, Waszyngton czym prędzej rozprawił się z zagrożeniem.

Od Rewolucji Październikowej z 1917 roku po upadek komunistycznych rządów w Europie Wschodniej pod koniec lat osiemdziesiątych, każdą agresję USA dało się usprawiedliwić jako obronę przed zagrożeniem ze strony ZSRR. Więc gdy w 1983 roku Stany Zjednoczone najechały maleńką Grenadę, Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów wyjaśniał, że w razie ataku Sowieców na Europę Zachodnią wrogo nastawiona Grenada mogłaby przechwytywać tankowce z ropą naftową wyruszające z Morza Karaibskiego do Europy, a USA nie byłyby w stanie przyjąć z pomocą sojusznikom w potrzebie. Dziś brzmi to komicznie, ale takie opowieści niezawodnie mobilizują poparcie opinii publicznej dla agresji, terroru i akcji dywersyjnych.

Atak na Nikaragwę usprawiedliwiano tezą, że jeśli my nie powstrzymamy „ich” w ich własnym kraju, wkrótce „oni” wyleją się przez granicę z Teksasem, odległą o dwa dni jazdy. (Lepiej wykształconym serwowano bardziej wyrafinowane scenariusze, równie prawdopodobne co przytoczony).

Z punktu widzenia amerykańskiego biznesu Nikaragua mogłaby zniknąć choćby jutro – nikt by tego nie zauważył. To samo można powiedzieć o Salwadorze. Mimo to jeden i drugi kraj padły ofiarą zbrodniczych napaści amerykańskich wojsk, które kosztowały życie setek tysięcy ludzi i wiele miliardów dolarów.

Nie dzieje się tak bez przyczyny. **Im słabszy i biedniejszy jest kraj, tym większe niebezpieczeństwo niesie płynący stamtąd dobry przykład.** Jeśli maleńki, ubogi kraj jak Grenada może poprawić warunki bytowe swoich mieszkańców, to w innych, zasobniejszych miejscach globu padnie pytanie: „dlaczego nie zrobić tego samego u nas?”

Ta zasada sprawdziła się nawet w Indochinach, gdzie zasobów i bogactw nie brakuje. Eisenhower i jego doradcy mieli dużo do powiedzenia na temat ryżu, cyny i kauczuku, ale tak naprawdę obawiali się, że jeśli lud Indochin wywalczy sobie niepodległość i sprawiedliwość, w jego ślady pójdzie Tajlandia, a jeśli jej się uda, spróbują tego samego na Malajach... za chwilę Indonezji zamarzy się samostanowienie i tak stracimy kontrolę nad znaczną częścią Azji.

Kto chce utrzymać światowy system podporządkowany wymaganiom amerykańskich inwestorów, nie może dopuścić do oddzielenia się choćby najmniejszej części. Uderzające,

jak otwarcie jest wyrażana ta myśl w oficjalnych dokumentach, niekiedy nawet jawnych. Weźmy Chile pod rządami Salvadora Allende.

Chile to duży kraj, bogaty w zasoby naturalne, ale Stany Zjednoczone nie zawaliłyby się tylko dlatego, że Chile wybiło się na niepodległość. Dlaczego więc chilijska demokracja tak nas niepokoiła? Ponieważ, zdaniem Kissingera, Chile było „wirusem”, który „rozprzestrzeniłby się” po całym regionie i dalej, aż po Włochy.

Mimo 40 lat wysiłków, CIA nie zdołała całkowicie rozbić ruchu robotniczego we Włoszech. Sukces socjaldemokratów w Chile wysłałby włoskim wyborcom niekorzystny sygnał. Mogliby sobie zamaryć przejęcie władzy we własnym kraju i odrodzenie potężnego ruchu robotniczego, zdziśiatkowanego w latach czterdziestych przez CIA. I co wtedy?

Amerykańscy planiści, od Sekretarza Stanu Deana Achesona pod koniec lat czterdziestych po czasy obecne, nieustannie ostrzegają, że „jedno zgniłe jabłko może zepsuć całą skrzynkę”. **Niebezpieczeństwo polega na tym, że „zgnilizna” – czyli społeczny i ekonomiczny rozwój – może się rozszerzać.**

Na potrzeby opinii publicznej teorię „zgniłych jabłek” nazywa się „teorią domina”. W tej wersji użyto jej, by zastraszyć amerykańskie społeczeństwo widmem Hồ Chi Minha dobijającego do brzegu Kalifornii kajakiem.

Nie można wykluczyć, że niektórzy polityczni decydenci w USA istotnie wierzą w te bzdury – ale z pewnością nie wierzą w nie racjonalnie myślący planiści. Ci po prostu rozumieją, że prawdziwym zagrożeniem jest dobry przykład.

Bywa, że mówią o tym bez ogródek. W 1954 roku, gdy Stany Zjednoczone szykowały się do obalenia demokratycznych rządów w Gwatemali, pewien urzędnik Departamentu Stanu stwierdził: „Gwatemala stanowi coraz poważniejsze zagrożenie dla stabilności Hondurasu i Salwadoru. Przeprowadzana tam reforma rolna to potężna broń propagandowa: szeroko zakrojony program socjalny, którego beneficjentami są chłopci i robotnicy. Tak wielkie zwycięstwo w walce z klasami wyższymi i zagranicznymi koncernami rozbudzi aspiracje społeczeństw innych krajów Ameryki Środkowej, gdzie warunki panują podobne.”

USA dążą zatem do „stabilności”, która oznacza bezpieczeństwo dla „klas wyższych i zagranicznych koncernów”. Jeśli tę stabilizację można uzyskać metodami formalnie demokratycznymi, to tak się dzieje. Ale jeśli nie, wówczas „zagrożenie stabilności”, jakie niesie jeden dobry przykład, musi zostać zneutralizowane, zanim wirus rozprzestrzeni się po świecie.

Dlatego nawet najdrobniejszy okruch może okazać się groźny i musi zostać zmiądzony.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Noam Chomsky
Czym grozi dobry przykład

pl.anarchistlibraries.net